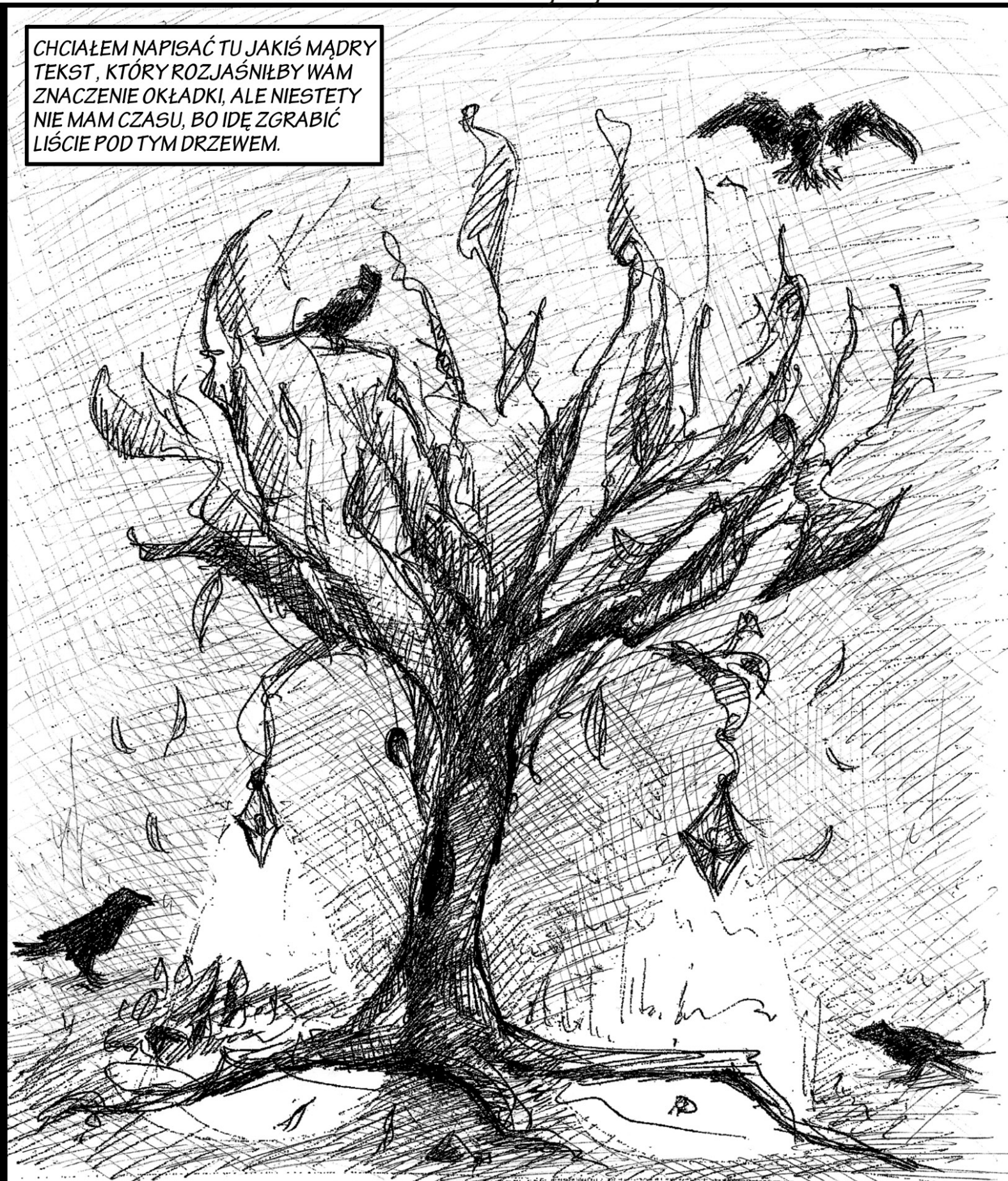


MARGINES

SZKOŁA UCZNIOWIE PRASA
ABY NASZ ZAPACH NIE OPADŁ JAK JESIENNE LIŚCIE...

CHCIAŁEM NAPISAĆ TU JAKIŚ MĄDRY
TEKST, KTÓRY ROZJAŚNIŁBY WAM
ZNACZENIE OKŁADKI, ALE NIESTETY
NIE MAM CZASU, BO IDĘ ZGRABIĆ
LIŚCIE POD TYM DRZEWEM.



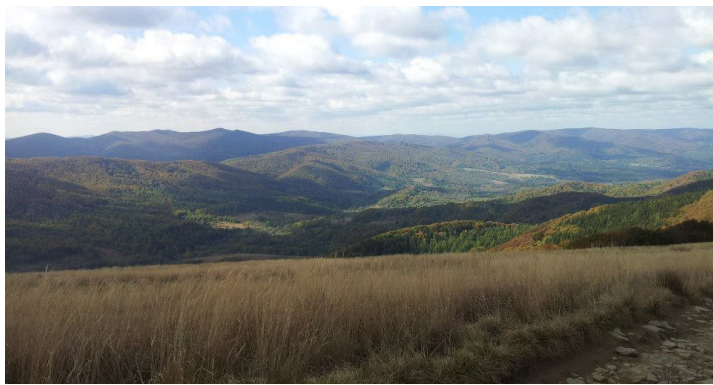
zadanie udostępnił serwis krzyżówkowy **szarada.net**

Bieszczady

Łukasz Ożóg

CZYLI GDZIE ZAŁAPAĆ SIĘ NA DAWKĘ ŚWIEŻEGO POWIETRZA WYMIESZANEGO Z INSPIRACJĄ.

Tytuł i autor do siebie nie pasują, tak, wiem. Prędzej zgadzałyby się Tomek Nowiński. Tak sam pomyślałem, ale przecież „Margines” ma poszerzać nasze horyzonty, a nie ograniczać nas, dlatego więc piszę ten tekst. W zasadzie było to polecenie profesora Bogusza, dlatego na początku, jeszcze przed wycieczką, myślałem, że „nie mam o czym pisać”, „dlaczego ja” i zacząłem w myślach narzekać. Nihil novi. No i... wystarczyło pojechać. Może to tamtejsze powietrze, może widok z Połoniny Wetlińskiej, super atmosfera albo wszystko razem sprawiło, że aż chcę ten tekst napisać. Nie chcę zrobić z tego relacji, bo wiem jak by to wyglądało – bardzo sztywno i bez sensu. Warto za to opisać wrażenia. Jedni mają więcej, inni mniej zajęć, ale ogólnie – każdy ma swoje życie i mnóstwo spraw na głowie. I prawdę mówiąc, patrząc z boku na swoje życie, nikt z normalnych, szarych ludzi nie będzie w 100% usatysfakcjonowany. Masa niedokończonych spraw, codzienne (albo mniej codzienne) problemy. W każdym wieku, u ludzi każdej rasy, wyznania i tak dalej. I co dziwne, tym wszystkim ludziom pomaga to samo. Nie znam chyba człowieka, który nigdy nigdzie nie chciałby pojechać, nie chciałby czegoś zwiedzić czy chociaż pooddychać normalnym powietrzem. I chyba każdy ma jakieś wymarzone miasto, góry, lasy, morza, które chciałby odwiedzić, niezależnie czy już tam był, czy nie. Z Bieszczadami może nie miałem aż tak, może to nie było moje niespełnione marzenie, ale po tym wyjeździe wiem, że bardzo mi ten wyjazd pomógł. Po pierwsze atmosfera, wyrwanie się od domu (no tak, jeszcze niedawno były wakacje, ale to co innego). Po drugie, Bieszczady są piękne, chyba nikt nie zaprzeczy. W kilku fotkach w tym artykule jest potwierdzenie tej tezy. I już z czystej konieczności napiszę: pierwszego dnia po niezbyt wyczerpującej podróży przyjechaliśmy na miejsce, zjedliśmy jeden z dwóch (w mojej opinii) bardzo smacznych obiadów, mieliśmy czas na rozpakowanie się, odpoczynek i integrację. W dniu następnym wybraliśmy się na wycieczkę do schroniska na Połoninie Wetlińskiej. Z dołu wyglądało to bardzo dobrze, trochę słońca, nie pada. Wtedy jednak już na sto procent utwierdziłem się w przekonaniu, że wiatru nie widać. Po wyjściu z lasu, czekała nas krótka droga, około 200 metrów. Pomyślałem wtedy, że mogłem wziąć trzecią kurtkę, ale niestety było już za późno. No cóż, pod schroniskiem myślałem, że wiem już co to porządny wiatr. Jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, człowiek się myli. A ja myliłem się bardzo. Dopiero potem poczułem, gdy grupą szliśmy grzbietem wzniesienia przez dłuższy czas, co to jest prawdziwy, silny wiatr. Wtedy chciałem już nie trzeciej kurtki, a czwartej. I pewnie wszyscy teraz są smutni, bo tekst się zaczął w porządku, a skończył narzekaniem na pogodę. A to nie prawda, bo na koniec chciałbym tylko powiedzieć, że gdybym tylko mógł się wyrwać jeszcze na parę dni, to chciałbym tam wrócić i położyć jeszcze więcej. Żaden wiatr nie może być silniejszy od tego, co człowiek sobie myśli idąc gęsiego za i przed kolegami, od czasu do czasu - jeśli się udaje - zerkając na pobliskie widoki. Jakiś wprawiony wędrowiec-turysta-himalaista może się teraz uśmiechać pod nosem, ale pamiętajmy, że tekst jest w szkolnej gazecie i kierowany jest do raczej niedzielnych turystów :).



Gdy pszczoły uciekają... – cz. 2

Krzysztof Franiek

OSTATNIO BYŁO PODSTAWOWO I OGÓLNIKOWO O PSZCZELICH SPOSOBACH PRZETRWANIA, DZIŚ PRÓBUJEMY Z TYM WALCZYĆ.

Każdy, choć trochę interesujący się artykułami o tematyce pszczelarskiej Czytelnik „Marginesu” już wie, co to rójka, tak więc nadszedł czas dowiedzieć się, czy pszczelarz może przekonać pszczoły, aby nie opuszczały swojego ula. Można by polemizować z tym, czy może bardziej pasowałoby tu słowo „oszukać”, lecz to pozostawiam do własnej oceny każdego, kto przeczyta ten artykuł.

Mamy piękne, słoneczne, majowe, ciepłe południe, po tygodniu słoty i chłódów. Dobry moment na to, by zajrzeć, co słychać w ulu. Przy takim układzie pogody nie ma co czekać, gdyż dzień zwłoki może nas kosztować sporą część pszczelej rodziny. Otwieramy ul, wyciągamy pierwsze ramko, a tu co? Pusto. Górna ramka wypełniona miodem, przy bocznych krawędziach trochę pyłku, ale gdzie jest czerw, który powinien zajmować całą środkową część ramki? W tym momencie pszczelarz może czuć niepokój. Wyciągamy drugie ramko, i dostrzegamy kilka dorodnych, już zasklepionych mateczników. Na kolejnych ramkach jest młody czerw, choć niewiele. Diagnoza – pszczoły szykują się do rójk. Wiosną dłuższe okresy deszczu sprzyjają nastrojowi rojowemu, więc nie mamy się czemu dziwić. I co dalej? Opcji jest kilka, lecz wśród nich nie ma niezawodnej.

Zakładając, że chcemy pozbyć się nastroju rojowego i utrzymać rodzinę w spójności, pierwszą rzeczą jaką trzeba zrobić, jest zerwanie mateczników. Bywa to czasochłonne, gdyż niektóre mateczniki mogą być naprawdę dobrze ukryte.

Najprostszą opcją, jaką może wybrać pszczelarz, jest dołożenie do ula ramek z samą węzą i zerwanie mateczników – wówczas pszczoły będą miały co robić, a matka będzie mieć więcej miejsca na czerwienie (czerw – młode pszczoły, jeszcze w postaci larw; czerwienie – składanie przez matkę maleńkich larw). Skuteczność tej metody? Niewielka. Jeśli pszczoły są w średnio lub bardzo zaawansowanym nastroju rojowym, nie przejmą się pustymi ramkami.

Jeżeli mamy czas i pogoda dopisuje, możemy wywołać sztuczną rójkę. Po pierwsze musimy znaleźć matkę, złapać ją do specjalnej klateczki z otworkami i umieścić przed ulem, na dużym kawałku szmaty. Zamykamy wylotem ula, wszystkie pszczoły z ramek strzepujemy na szmatę, te które pozostały w ulu wymiatamy, wykurzamy i staramy się uniemożliwić im powrót do ula. Jest to dość trudne, gdyż pszczoły intuicyjnie wracają do ula, a swoje żądła nieraz w zamieszaniu zostawiają w ciełe pszczelarza. W międzyczasie zrywamy wszystkie mateczniki. Pszczoły przed ulem odnajdują matkę. Czują się prawie tak jakby zaraz miały odlecieć na drzewo, lecz matkę blokuje klatka. Zostawiamy nasze niedosłe uciekiniarki na parę godzin na zewnątrz. Następnie wkładamy matkę z klateczką do ula i otwieramy wylotek. Pszczoły wyczuwają matkę w ulu, powiadamią inne o miejscu jej pobytu i powoli wchodzą do środka. O ile mamy szczęście i nasze pszczoły nie są zbyt uparte, mamy nastrój rojowy z głowy, a na drugi dzień rodzina zacznie prawidłowo pracować.

Jest wiele kombinowanych sposobów o których nie napisałem, wiążących wspomniane opcje plus odbieranie miodu, podmianę matek, ich uśmiercanie, czy też wyczekiwanie aż pszczoły same opuszczą ul. Nie będę jednak o nich wspominał, gdyż nie jest to profesjonalny wykład, ale krótki, poglądowy artykuł w formie ciekawostki.

Zamykam temat rójek i ucieczek, w następnym numerze miód i alkohol, czyli co pito tysiąc lat temu, a co można znaleźć na sklepowej półce.

Ślubowanie klas pierwszych

Renata Makuch

COROCZNEJ TRADYCJI ZSŁ STAŁO SIĘ ZADOŚĆ. JUŻ KAŻDY JEST PEŁNOPRAWNYM UCZNIEM ZESPOŁU SZKÓŁ ŁĄCZNOŚCI.

We wtorek (15.10) jak co roku w kinie „Kijów” wszyscy uczniowie klas pierwszych wraz z Wychowawcami oraz Dyrekcją spotkali się na ceremonii ślubowania. Od godziny 7:00 trwały przygotowania do całej uroczystości. W zadziwiająco szybkim tempie sala została przygotowana do wydarzenia. Ostatnie próby mikrofonu, sprawdzanie oświetlenia i przed godziną 8:00 sala zapełniła się. Na początku panował delikatny chaos, ale szybko udało się wszystko doprowadzić do porządku i rozpocząć uroczystość. Pierwsze rzędy zajęła Dyrekcja wraz z nauczycielami, dalsze miejsca wybrali uczniowie. Na początku Łukasz powitał wszystkich zgromadzonych i poprosił o powstanie; na scenę wkroczył poczet sztandarowy. Po odśpiewaniu hymnu na podium pojawił się Dyrektor Antoni Borgosz i wygłosił krótkie przemówienie, w którym podkreślił wartość nauki w naszym życiu i powitał nowych uczniów w „łącznościowej rodzinie”. Następnie przewodniczący klas pierwszych zostali zaproszeni na scenę i odbył się akt pasowania. Zabrzmiwały wszystkim dobrze znane słowa ślubowania:

Stojąc przed sztandarem szkoły ślubuję uroczyscie,
Zachować postawę godną ucznia Zespołu Szkół Łączności,
Systematycznie i pilnie zdobywać wiedzę,
Dbać o dobre imię Szkoły



Już po raz 68. zostały uroczyscie wypowiedziane przez uczniów. Każdy z przewodniczących został pobłogosławiony rezystorem przez Pana Dyrektora. Po przewodniczących na scenie pojawili się wychowawcy i zostali oficjalnie opiekunami klas pierwszych. Jak co roku odbył się konkurs wiedzy o szkole, Dyrekcja wręczyła uczniom nagrody, nie obyło się bez krótkich pytań związanych z naszym miejscem nauki, a najwięcej entuzjazmu wzbudziło pytanie: „Jak p. Wicedyrektor Piskowski nazywa uczniów, którzy coś przeszkrobali. Odpowiedzi padły dwie: Orzeszku i Gargamelu.

Po zakończeniu części oficjalnej przyszedł czas na artystyczną. Na pierwszy ogień poszli Dominik Chrzęścik (I ID), Mikołaj Śliwa (I ID), Maciej Jankowski (I TA), Krzysztof Kapusta (I IC) oraz Gabriela Machlowska (IV ID) z piosenką „I love Rock and Roll”, następnie nastąpiły małe rozszady i na scenie pozostali Dominik, Krzysiek i Maciek z poprzedniego składu, a dołączyli do nich Jakub Mysza (I ID) oraz Maciej Maj (II ID), którzy wy-



knali piosenkę „Wehikuł czasu” z repertuaru Dżemu. Małym przerwaniem muzycznej części był występ dziewcząt z klasy I IB, I TB oraz I K, które pokazały układ taneczny do piosenki „Beat it” Michaela Jacksona. Różnorodnych talentów w Łączności nie brakuje, na scenie pojawił się Kamil Zagórski z I EB i na akordeonie wykonał utwór „Tak smakuje życie” zespołu ENEJ. Następnie mieliśmy okazję posłuchać odrobinę klasyki, gdyż Konrad Szumański również z I EB wykonał na klawirze „Etiudę” Hansa Milera. Kolejną odskocznią od muzyki był pokaz karate wykonany przez Kornela Miszczaka z I IB. Ostatni muzycy, którzy wystąpili, to: Radosław Korczyński (I ED), Adam Pyslak (I ED), Mateusz Płonka (I ED), Wojciech Skrzybański (III EC) oraz Katarzyna Zielant (I TB) z piosenką „Paranoid”. Część artystyczną zakończył występ Piotra Kutyby (I IB), który zaprezentował układ z wachlarzem i flagą. Publiczność gromkimi brawami uhonorowała każdego z artystów, można po tym wnioskować, że występy były naprawdę udane.

Po zakończeniu ślubowania odbyła się projekcja filmu „Wąłesa. Człowiek z nadziei”.

Uroczystość ta nie mogłaby się odbyć bez zaangażowania prof. prof.: Marioli Stegienko, Agnieszki Osuch, Sylwii Kani, Małgorzaty Marcinkowskiej-Wardas i Agnieszki Kozłowskiej oraz grupy uczniów, która zajęła się programem artystycznym a także techniczną stroną ślubowania.



foto. Grzegorz Cieplny

Myśl schematycznie, a daleko zajdziesz...

bogi

SYSTEM, KTÓRY SAM W SOBIE JEST BŁĘDEM

Od dłuższego czasu zaczyna do mnie powoli docierać, na jakiej zasadzie działa system szkolnictwa i edukacji młodzieży. Kiedyś zapewne przyjdzie mi napisać maturę. Przykładowe zadanie otwarte z języka polskiego: „Wyjaśnij, co autor miał na myśli...”. Jakim prawem mam wiedzieć, co autor miał na myśli, wyrażając się takim a nie innym zwrotem? Zapewne zostaną za to srogo skarcony, ale według mnie nie ma prawidłowej odpowiedzi na takiego typu pytania. Każdy człowiek, czytając dany utwór, odczuwa co innego. Jednakże okazało się, że odpowiedź na takie pytanie, aby została zaliczona, musi spełnić warunki wymienione w kluczu odpowiedzi. Czyli prowadząc dalszy wywód... z góry została przyjęta prawidłowa odpowiedź bądź kilka z nich. Oznacza to, że nawet jeżeli napisałbym swoją odpowiedź poprawnym językiem, bez rażących błędów stylistycznych oraz logicznych, zawierając natomiast własne zdanie na temat utworu, a nie byłaby ona przewidziana w kluczu, punktacja mej odpowiedzi nie przekroczyłaby nawet połowy możliwych do zdobycia punktów. Dlaczego? Tego niestety nie wiem. Wydaje mi się, że jest to sprowadzanie sposobu myślenia ludzi do toku, w którym nie będą musieli myśleć sami tylko przyjąć czyjeś zdanie. Z mojej perspektywy jest to robienie z ludzi jednolitej masy, bez wybijających się poza nią jednostek. Dlaczego? Ponieważ taką grupą łatwiej manipulować. Wiem, że część z Was czytających ten artykuł pomyśli, że właśnie stworzyłem swoją teorię spiskową, ale to jest tylko

moje zdanie. Według ludzi tam na górze (ministerstwo), nie potrzeba nam umiejętności potrzebnych do wykreowania własnej osobowości, no bo po co. Potrzeba przecież wyłącznie umiejętności, które złudnie mają przydać się w przyszłości. Gdyby wszyscy przyjmowali takie założenie, w Polsce byłiby przeciętnymi Kowalskimi, którzy potrafią dokładnie to samo, nic ponad

to, co było przewidziane w podstawie programowej. Ehh... Na szczęście są jeszcze ludzie, którzy mimo nałożonych ograniczeń, potrafią wykorzystać swój czas wolny na rozwijanie nieszablonowych umiejętności, dzięki którym będą inni. Ale tak jak już wspominałem... to tylko moje skromne zdanie. I tak każdy robi to, co uważa za słuszne. Co nie zmienia faktu, iż system, o którym tyle się nagadałem, powinien ulec zmianie. Miejmy nadzieję, że na lepsze.

Syrop – gorszy niż cukier?

Rufus

WIADOMO, ŻE CUKIER JEST PRZECIWNIKIEM SZCZUPŁEJ SYLWETKI. NAJNOWSZE BADANIA WSKAZUJĄ, ŻE ISTNIEJE JEDNAK JESZCZE BARDZIEJ SZKODLIWA SUBSTANCJA – SYROP GLUKOZOWO-FRUKTOZOWY.

Zdrowe, przemyślane odżywianie przestało być domeną odchudzających się pań. Nawet w naszej szkole spora liczba osób uprawia sport, a wiadomo, że świetna sylwetka to tylko po części wynik aktywności fizycznej, ponieważ w głównej mierze zależy od zbilansowanej diety.

Wszędzie słyszymy, że trzeba czytać skład produktów, które kupujemy, ponieważ nawet z pozoru niesłodkie jedzenie może zawierać w sobie tony cukru. Inny powód to wszechobecna chemia, ulepszacze, aromaty, konserwanty i tym podobne świństwa.

Wybieramy się więc do sklepu, czytamy etykietkę ulubionego jogurtu... Nie ma cukru! Wspaniale. Zadowoleni wrzucamy 5 sztuk do koszyka. Nie zwróciliśmy jednak uwagi na to, że jogurt zawiera syrop glukozowo-fruktozowy, o wiele bardziej niebezpieczny od zwyczajnego cukru z buraków lub trzciny cukrowej. Ta dodatkowo, szkodliwa dawka cukrów prostych to winowajca plagi otyłości w Stanach Zjednoczonych. Możemy go spotkać wszędzie, m.in. w produktach mlecznych, ketchupach, musztardzie, napojach, praktycznie we wszystkich sokach. Nawet w sałatkach! Jest obecny niemal w każdym słodzonej produkcie.

Tajemniczy syrop glukozowo-fruktozowy to nic innego jak modyfikowana kukurydza, przetworzona na skrobię kukurydzianą. Właśnie ta skrobia przetwarzana jest na syrop.

Oddziaływanie tego roztworu jest przedmiotem licznych badań, aczkolwiek ustalono już, że jest on czynnikiem powodującym szybkie tycie. Dzieje się tak, ponieważ spożywanie fruktozy, nawet w śladowych ilościach, programuje organizm na produkcję tkanki tłuszczowej. Co więcej, tłuszcz ten głównie umiejscawia się w narządach wewnętrznych, co sprzyja m.in. chorobom układu krążenia. Syrop powoduje także wystąpienie cukrzycy, rozbudza apetyt oraz podnosi ciśnienie.

Dlaczego tak niebezpieczny syrop jest tak powszechny? Głównym powodem jest cena i łatwość przechowywania. Ma o wiele dłuższą datę przydatności niż tradycyjny cukier. Dodatkową zaletą jest fakt, iż jest płynny i znacznie łatwiej korzystać z niego podczas produkcji żywności.

Owoce oraz warzywa w zupełności zaspokajają nasze zapotrzebowanie na cukier. Zrezygnujmy więc z nadprogramowego, zawartego w sztucznie słodzonych produktach.



GOTUJ.PL

Kiedy wygraną jest życie...

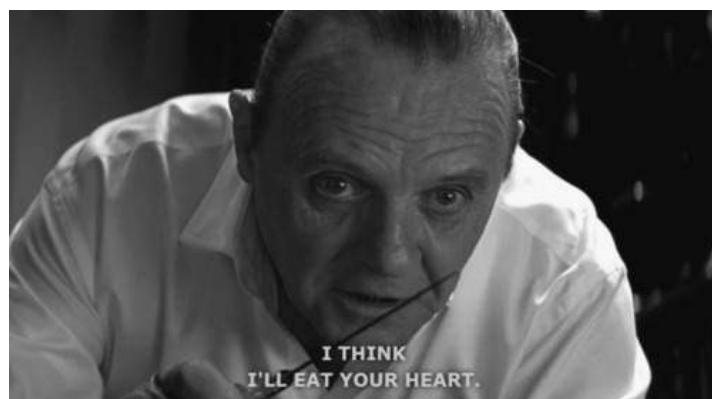
Monika Sajbura

„JEŚLI NA PIERWSZY RZUT OKA KTOŚ WYDA CI SIĘ NIECIEKAWY, ZAJRZYJ DO JEGO WNĘTRZA.”

Tym razem postanowiłam zachęcić do przeczytania „Milczenia owiec” Thomasa Harrisa. Zanim zabrałam się do pisania tego artykułu, zrobiłam wywiad środowiskowy, żeby dowiedzieć się, jak inni odbierają tę historię. Okazało się, że wszyscy słyszeli tytuł, ale mało kto wie, o czym tak właściwie jest ta książka. Z drugiej strony, gdy wypowiedziałam tylko imię „Hannibal”, każdy dostawał olśnienia. Aż ciężko mi się to pisze, ale wbrew pozorom „Milczenie owiec” nie jest historią doktora Lectera. Główną bohaterką tej powieści jest Clarice Starling, która pracuje w wydziale behawiorystycznym FBI. Książka opisuje jej pierwsze zadanie, które polega na wyciągnięciu informacji od pacjenta szpitala psychiatrycznego. Owszem, jest nim morderca, kanibal i doktor psychiatrii Hannibal Lecter. Prowadzi z nią rozmowy, które dla niego są psychologiczną grą. On pomaga jej zidentyfikować tożsamość seryjnego mordercy Buffalo Billa, ona w zamian opowiada mu o swoim dzieciństwie. Patrząc na tę książkę jako historię, która kończy się wraz z ostatnią stroną, mogłabym na tym skończyć, a nawet uznać wątek Hannibala za poboczny, bo przecież cała historia polega na ujawnieniu tożsamości Buffalo Billa i próby uratowania jego kolejnej ofiary. Po takiej recenzji można byłoby pomyśleć, że to typowy kryminał, nie wprowadzający nic nowego do naszego życia. Ja jednak postanowiłam sięgnąć dalszych źródeł i wgłębić się w historię doktora Lectera. Pierwszą częścią trylogii o doktorze kanibalu jest „Czerwony smok”. Właśnie w tej części pierwszy raz pojawia się psychiatra-geniusz, który okazał się seryjnym mordercą, jednak był to wątek dość poboczny. Zaś po „Milczeniu owiec” ukazała się powieść „Hannibal” kontynuująca historię Clarice Starling. Lecterowi udało się uciec i pod fałszywym nazwiskiem był kustoszem we włoskim muzeum. Jednak po 7 latach na jego trop udaje się wpaść dwóm osobom - Agentce Starling i Masonowi Vergerowi. Verger był jedną z ofiar byłego psychiatry. W tej części historia Hannibala Lectera się kończy. Czytając te trzy części mamy obraz niesamowitej historii i od razu patrzymy na to inaczej, uznając wątek Lectera za główny, a nawet jako jedyne powód czytania kolejnej części. Każdy, kto przeczytał przynajmniej jedną z tych książek, zgodzi się ze mną, że Thomas Harris spektakularnie i szczegółowo przedstawił nam psychikę, nie tylko mordercy, ale przede wszystkim skrzywdzonego przez los geniusza. Po przeczytaniu tych trzech powieści nasuwało mi się jedno, dość ważne pytanie: dlaczego? Dlaczego szanowany psychiatra posunął się do tak okropnych zbrodni? Choć był on uznany za człowieka bez uczuć, Harris nie odebrał mu cech ludzkich. Czytając „Hannibala” przywiązałam się już do doktora Lectera i wraz z końcem historii nie mogłam zrozumieć, jak on mógł być kanibalem, na pozór pozbawionym wszelkich zasad moralnych. Cytat, którego użyłam w zjawce pochodzi z książki „Hannibal po drugiej stronie maski”, czyli czwartej i ostatniej części tej trylogii. Wiele osób mogłoby pomyśleć, że kolejna część to już komercja, bo skoro świat tak polubił tytułowego bohatera, to napiszmy na siłę jak najwięcej książek i zbijmy na tym fortunę. Osobiście uważam, że ta część to piękny gest ze strony Harrisa dla wielbiciela Hannibala. Tę książkę możemy podzielić na dwie części, opisujące dwa etapy życia Lectera. Pierwszy etap to dzieciństwo młodego dziedzica rodu Lecterów. Właśnie tutaj wyjaśnia się, co takiego się wydarzyło, że imię Hannibal zmieniło się na „Kanibal”. Druga część opowiada wydarzenia z czasów studiów. Ta część całej historii po głębszym zastanowieniu się, może wydawać się nam

dość naciągana, jednak czytając ją, cały czas jesteśmy utrzymywani w napięciu. Poznajemy tu jego pierwsze przemyślane morderstwa, które są zemstą za zdarzenia z dzieciństwa. Czytając opisy niektórych morderstw, od razu skojarzyły mi się z „Piłą” (które oglądając wszystkie 7 części pod rząd, możemy dopatrzeć się naprawdę złożonej fabuły!), ale osoby pragnące sensacji i akcji mogą się rozczarować. Ta książka jest skierowana typowo pod fanów psychiatrii-kanibala. Wspaniale opisuje ona jego psychikę i osobowość oraz motyw zabójstw. Dlaczego jednak ta część wyszła jako ostatnia, chociaż pod względem wydarzeń powinna być pierwsza? Moim zdaniem Thomas Harris chciał, żebyśmy się wręcz delektowali każdą stroną tej książki, odkrywając najmroczniejsze wspomnienia Hannibala Lectera.

Cała trylogia nie jest trudna. Czyta się ją przyjemnie i z zaciekawieniem. Kiedy wciągniemy się już w historię, ciężko nam się od niej oderwać. W całej tej serii jest bardzo mało wątków pobocznych, więc dla mnie, jako fanki Kinga, to była wręcz nowość i cały czas odnosiłam wrażenie, że moja prędkość czytania zwiększyła się stokroć. Jeżeli miałabym wybierać przedstawiciela thrillera



<http://images.fanpop.com/>

psychologicznego, to właśnie wybrałabym tę trylogię. Moim zdaniem „Milczenie owiec” odniosło tak ogromny sukces nie przez samą postać mordercy-kanibala, lecz przez jego geniusz i psychologiczne podejście, zwłaszcza w rozmowach z agentką Starling. Nawet sam tytuł, który na pozór wydaje się zupełnie niezwiązany z wydarzeniami w książce, wraz z przewracanymi stronami nabiera sensu i można się dopatrywać w nim ukrytego znaczenia.

Oczywiście, obejrzałam wszystkie części ekranizacji tej powieści. Byłam pozytywnie zaskoczona dobrze nakręconymi filmami. Anthony Hopkins niesamowicie odegrał rolę Hannibala. Dodał do tej postaci kilka ciekawych cech, na przykład nie mrugnął on oczami ani raz przez wszystkie części. Żałuję tylko, że kilka dość interesujących i zabawnych scen zostało wyciętych i miewałam momenty, kiedy nie do końca wiedziałam, co dana scena ma nam przekazać (głównie beznadziejnie przedstawili najważniejszą scenę w „Hannibal: po drugiej stronie maski”, która wyjaśniała kanibalizm Lectera). Dlaczego jednak upieram się przy stwierdzeniu: „Film to tylko dodatek do książki”? Przede wszystkim niesamowicie rozczarowałam się na filmowym zakończeniu całej trylogii. W książce zakończenie było mocno zaakcentowane, a w filmie praktycznie go nie było.

Mam nadzieję, że rozwiałam wątpliwości wielu osób co do tej książki, a może nawet i książek. Uważam, że z czystym sumieniem mogę polecić każdemu trylogię o Hannibalu Lecterze. Radzę też nigdy nie ograniczać się tylko do filmów, bo wiele ciekawych rzeczy może nas ominąć.

Nienawidzę biegania, czyli remarszbzduryzacja

Xenon

„KTÓREGOŚ DNIA TO MIASTO BĘDZIE NALEŻEĆ DO MNIE. NA RAZIE... CHODZĘ. NA RAZIE... PATRZĘ. NA RAZIE SWÓJ NÓŻ OSTRZĘ, WKŁADAM, ZDEJMUJĘ KASTET. OPLUTY.”

Wszehobecny, poranny, jesienny chłód. Przyznaję, że tylko letnie poranki są kławe, nie doświadczyłem żadnego. Reszta dnia mogłaby być spokojną jesienią z dwudziestoma stopniami za oknem, wielobarwną kaskadą liści przy każdym podmuchu wiatru...

Jest 6:46, a ja od ośmiu minut wiem już, iż na zajęcia z pomiarów jestem spóźniony. Stałem od 6:36, czekając na autobus 128 odjeżdżający dwie minuty później. Piszę ten tekst w niespokojnym, paranoicznym wręcz bezruchu (ambiwalencja, tak!), spóźniając się na lekcje tramwajem linii 14 tylko cztery minuty późniejszym. Fantastycznie. MPK zawiodło po raz kolejny. Robi to każdego dnia.

Dlaczego niby powinienem być przyzwyczajony? Dlaczego jedyne co słyszę to: „Nie biadol, tak już tu jest”?! Dlaczego trzon pracujący tego narodu to konformiści z tupetem zamiast honoru?

I najnieprzyjemniejsze tutaj, jak miemam - dlaczego w statucie szkoły ulga związana z tym wszechobecnym błędem ludzkim miarkuje się tylko tym, którzy używają rozwiązań komunikacyjnych firm i przedsiębiorstw zgoła mniejszych niż ZIKIT (MPK to wykonawcy - oni się tylko spóźniają)? Wszystko mi tutaj straszliwie śmierdzi. W tramwaju też.

Przy okazji - skoro Kraków to miasto zielone i eklektycznie łączące naturę z kulturą, zapewniając mieszkańcom ekologiczny, czysty i nieindustrializowany fundament egzystencji, to dlaczego podróżuję w pojazdach obdarowanych przez samych pasażerów dla siebie fekaliami? Tu co miesiąc kończy moje 47 zł? Umiem to zrobić lepiej.

Czy muszę wspominać również o tym, iż dokładnie rok temu o tej porze spokojnie wiązałem buty, ponieważ ten sam autobus zawoził mnie, nie tylko mnie oraz ku innych waćpaństw ucieśze dokładnie (dużo drzewiej stawał też na Szwedzkiej, w ostatnich czasach świetności prawie, bo na Rondzie Grunwaldzkim, również miodzio!) pod szkołę? Czas przejazdu został w moim przypadku wydłużony o 20 minut, chwalebne i jakże potrzebne dwadzieścia minut! A gdy ktoś jedzie z dalsza, również korzystając z usług połączonych sił ZIKITu i MPK/Mobilisu każdego ranka absolutnie niepotrzebnie przesiadając się kilka razy?

Najbardziej uwielbiam niszczyć sobie psychikę, czytając informację: „Przejazd z Kurdwanowa do Krowodrzy skrócono z 35 do 30 minut”. Tramwaje rozwijają się progresywnie, małymi kroczkami, przysposabiając napęd nuklearny do działań w aglomeracji miejskiej, przecież to takie oczywiste.

Chyba nikt nie widzi, jak bzdurne, głupie i bez sensu są te wszystkie operacje na liniach. Może działa to w Pradze, ale na pewno nie tutaj.

A nawet jak widzi, to członek zarządu – szwagier (członek zarządu) ciotki (członkini zarządu!) syna (członka zarządu!!) aktualnego dyrektora zarządu (!!!) i tak nie spróbuje nawet spróbować tego zauważyć.

Mam dość grupy zarządzającej całym tym - mogłoby-być-

Mama i nauczyciel
nie uwierzą Ci,



że się spóźniłem

-klawym - miastem oraz mam dla nich idealną, najcięższą i najbardziej permanentnie dezintegrującą karę, która rano i po południu spotyka każdego używającego komunikacji komunalnej...

Wszehmogący to najokrutniejszy zbrodniarz uniwersum. Teraz im się nie dziwię - gdybym w tym momencie dostał od Morgana Freemana moc wszechmocy, to na pewno nie rozstępowałbym zupy pomidorowej. O nie. Dzięki mnie jarzynowa przestałaby istnieć, a na świecie zapanowałyby pierogi... A potem zabawa rodem z Black&White 2.

Wraz z rozwojem cywilizacji w pakiecie dostajemy również autouzupełniający się zestaw klątw, zupełnie jakby ktoś specjalnie uprzykrzając kontrował wszystko, co zostanie osiągnięte. Nie uderzam do chorób, do globalnego ocieplenia, wylesienia, braku miejsca do życia, głodu, smrodu czy biedy. To sprawiliśmy sobie najbardziej świadomie i wszystko na ten temat zostało już powiedziane. To, o czym mówię, to dzieło wielu - rzeszy niekoniecznie świadomych.

Tą karą, tą klątwą, tym utrapieniem, złem i pieniaczym czynnikiem X jest POŚPIECH. Pośpiech to stres. Pośpiech to gniew. Pośpiech to nieskrupulatność. Pośpiech to metaforyczny perpetualny poniedziałek każdego gimbusa w skali światowej. Codziennie. Samo znaczenie idiomu „na szybko” znaczy przecież „niedokładnie, byle działało”. Egipcjanie nie spieszili się z piramidami. Skutki widać - w Egipcie oczywiście.

Pomyślcie o tym sami. Błagam was, nie róbnmy też sami takiego bałaganu, kiedy w końcu dojdziemy do drążków i kontrolerów sterujących społeczeństwem. W końcu chyba każdy pragnie sławy, pieniędzy i masońskich zdolności manipulacji, prawda? Przez gnianie na zawal, by nadążyć za każdym terminem. Bez żadnej myśli o jakichś wolnościach, ulgach – po co to komu? Po co walczyć o chwilę dla siebie, by rozwinąć tę metafizyczną cząstkę siebie, poczytać książkę, tę rzekomą elitarną gazetę chociażby... Po co myśleć?

W imię zagubienia

Artur Kawala

KIEDY CZŁOWIEK W OBLICZU TRAGEDII MOŻE LICZYĆ TYLKO NA ODRZUCENIE.

Już przed polską premierą o nowym filmie Małgorzaty Szumowskiej zrobiło się głośno. I nie stało się tak tylko ze względu na kontrowersyjny temat, który reżyserka podjęła, bowiem „W imię...” od kilku miesięcy wyświetlany jest na ważnych festiwalach filmowych na całym świecie. Znalazł się m.in. w konkursie głównym na Berlinale i Złotych Lwach, i na obu z tych imprez udało mu się zdobyć po kilka nagród specjalnych, a Andrzej Chyra, odtwórca głównej roli, zyskał szerokie uznanie poza granicami Polski i został uhonorowany cennymi wyróżnieniami.

W mediach i prasie padło już wiele słów o tym tytule. O „W imię...” można przeczytać, iż to nieuzasadniony atak na Kościół, podlany scenami homoseksualnymi, które mają tylko prowokować. Są to zarzuty mocno oderwane od historii opowiedzianej na ekranie, w większości kierowane raczej emocjami niż obiektywnym spojrzeniem.

„W imię...” jest opowieścią o księdzu, który prowadzi parafię i ośrodek dla trudnej młodzieży w małej wsi gdzieś na Mazurach. Został tutaj przeniesiony z innej parafii i szybko się zaadaptował. Na co dzień widzimy go przebiegającego długie dystanse, odprawiającego mszę świętą i spowiadającego chłopców. Ci traktują go z respektem, ale bardziej jak kolegę niż księdza – w jego obecności nie stronią od wulgaryzmów i wyzwisk. Przez większy czas produkcji film nosił tytuł Nowhere – miało to podkreślić odosobnienie mazurskiej miejscowości. Horyzont wypełniają lasy, uprawne pola, sklep „Niagara” z zakurzonym podjazdem i kilkanaście starych budynków.

Szybko okazuje się, że ksiądz Adam nie jest przykładem altruistycznego duchownego z powołania. Im głębiej schodzi film, tym bardziej natura księdza w głównym bohaterze jest wypaczana. W końcu dostajemy obraz najbardziej osamotnionego człowieka na świecie, który myślał, że przywdziewając sutannę, ucieknie od problemów; tymczasem od tamtej pory jego życie jest serią potyczek. Jednak nadal stara się być poprawnym moralnie (lub sprawiać takie pozory), co czyni go wiecznym uciekającym przed samym sobą i swoją prawdziwą naturą. I tak każdego dnia ucieka – przez ciemny las i polne drogi; do innego kościoła, by się wypowiedzieć; odmawiając propozycji obnażonej przed nim kobiety; zapijając się do nieprzytomności; wypłakując się po pijaku siostrze przed ekranem laptopa. Kiluminutowe ujęcie księdza niosącego monstrancję podczas procesji przypomina teledysk wyrwany z MTV – w tle słyszymy radiowy hit, a ujęciom kamery daleko od statyczności i skupienia się na celebracji Najświętszego Sakramentu. Szumowska podsuwa kolejne sceny, a bohater kluczy w nich niczym w labiryncie swojego sumienia. Przeklina – choć nie mówi tego na głos – Boga za los, jaki mu zgotował.

Film nie przełamuje tabu, nie wchodzi w głębszą dyskusję nad obecną sytuacją w Kościele. Również nie jest ostrą krytyką wymierzoną w Jego stronę. Szumowska postanowiła wykorzystać Kościół jako tło dla opowieści, ponieważ problem jest obecny i udawanie, że nie istnieje, jest równie złe, co jego wyolbrzymianie. Dzięki temu historia nabrała realizmu. Prawdą jest, że „W imię...” to kontrowersyjny film – został podjęty bardzo wrażliwy temat, który rozpoczął wiele dyskusji, ponadto nie brakuje w nim scen, które do lekkich nie należą, ale niestety zostały wplecione niepotrzebnie; reżyserka próbuje zaszokować widza, co w kontraście ze sposobem nienachalnej narracji z subtelnymi niedopowiedzeniami, która w filmie dominuje, okazuje się złym posunięciem.

Reaper: Tale of a Pale Swordsman

Konrad Sznajder

MÓWI WAM COŚ NAZWA HEXAGE? NIE? TO CZAS NADROBIĆ ZALEGŁOŚCI, BO TO STUDIO TWORZY NAPRAWDĘ DOBRE GRY.

Jedną z nich jest Reaper, najnowsze dziecko studia. Jest to liniowy RPG akcji, w którym kierujemy Śmiercią wybudzoną z długiego snu, a naszym celem jest zaprowadzić porządek w Dzikim. A dokonamy tego, zabijając po drodze tony przeciwników. Mniej więcej tak przedstawia się zarys fabularny produktu. Lecz nie tło fabularne jest motorem napędowym tej gry, ale system walki. I trzeba przyznać, że twórcy mieli ciekawy pomysł na niego. Na ekranie nie uświadczymy żadnych przycisków. Poruszamy się, dotykając lewej strony ekranu, na drugiej połowie wykonujemy gesty odpowiadające za odpowiednie ciosy. Dodatkowo za użycie podstawowego ataku zdobywamy punkty zwiększające efektywność i obrażenia zadawane przy użyciu tych ciosów. Wszystko to sprawia, że trochę trzeba się przyzwyczaić, aby po chwili już bezproblemowo szlachtować przeciwników w niezwykle stylu. Rozwiązanie może niezbyt awangardowe, ale bardzo dobrze zaimplementowane. W grze otrzymujemy dostęp do szerokiej gamy ekwipunku, który możemy nosić i zmieniać. Niestety wpływa to w niewielkim stopniu na wygląd postaci, zmienia się jedynie broń i miecz. Nie przeszkadza to jednak w odbiorze zabawy. Całość jest zamknięta w miłej dla oka kolorowej, lekko cukierkowej, oprawie, która świetnie kontrastuje z treścią gry i naszym bohaterem. W tle przygrywa nam interesująca mieszanka elektronicznego grania z motywami bębnowymi. Dźwięki przeciwników są dobrze oddane i nadają im charakter. Sami przeciwnicy też są różnicowani i dopasowani do aktualnego terytorium, na którym się znajdujemy. Więc w pobliżu obozu wojska możemy zostać zaatakowani przez odpoczywających tam wojskowych, a chodząc po bagnach, możemy spotkać mieszkających tam tubylców. Gra dostępna jest w wersji demo, która pozwala nam pograć do dziesiątego poziomu postaci i trzech wersjach pełnych, dwie z nich są uzupełnione o dodatkowe przedmioty, miejsca i tryby. Są to między innymi specjalny zestaw zbroi i Arena Walk nieopodal wioski tubylców-wojowników. Gra dostępna na urządzenia przenośne z systemem operacyjnym Android, iOS i Windows Phone oraz na komputery stacjonarne z systemem Windows 8 i Mac OS X. Znajduje się również w BlackBerry Store, lecz nie jest ujęta na stronie studia jako obsługiwany system. Dodatkowo obsługuje kontrolery typu MOGA.

Ale, ale! Jeśli nie odpowiada Wam RPGowa otoczka i jedyne, czego pragniecie, to czystej, niczym nie zakłóconej walki w stylu starych slasherów, to nie ma z tym żadnego problemu! Gra w jednej z pełnych wersji posiada specjalny tryb Dark Harvest, z osobną postacią i ekwipunkiem. W tym trybie dostajemy czystą grę akcji, w której poziomy i sprzęt zdobywamy, wygrywając sekwencje walk. Dodatkowo istnieje tabela wyników, w której zebrane jest 100 najlepszych rezultatów graczy z świata. Coś dla osób lubiących wyzwania. Jeśli ta gra Was zainteresowała, polecam zapoznać się z innymi tytułami Hexage, bo to naprawdę ciekawa mieszanka różnych typów gier.